TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Jerzy Andrzejewski
Ludwik Berger
Marjan Czuchnowski
Zofja Kossak
Janusz Laskowski
Cyprjan Kamil Norwid
W. Z. Stępniewski

Vol. 4. Nr. 4 (161) Nowy Jork, 27 stycznia — New York, 21, N. Y., January 27, 1946 Cena 20 ct.



SZTANDAR PUŁKU UŁANÓW KARPACKICH
OFIAROWANY PRZEZ POLAKÓW Z RZYMU

LUDWIK BERGER

Kabalistyka i symbolika sowiecka

Do rzędu rozpowszechnionych uproszczeń trzeba zaliczyć traktowanie Środkowego Wschodu jako terenu czysto arabskiego. *Wzrost wpływów sowieckich pomiędzy Zatoką Perską a Deltą Nilu, to następstwo nie uproszczonego, a bardzo zróżniczkowanego potraktowania narodów zamieszkałych na Lewancie.* Istnieje sięgająca głęboko w historję sprzeczność pomiędzy wielobarwną *mozaiką narodowości* lewantyńskich, to jest pomiędzy *Kurdami, Ormianami, Druzami, Maronitami, Azerbejdżanami a Arabami.* Istnieje, może jeszcze głębsza *sprzeczność wyznaniowa.* Poza wewnętrznym podziałem mahometan na *sziitów i sunitów,* istnieją tu liczebne gminy wyznaniowe *żydowskie* i bardzo *zróżniczkowane kościoły chrześcijańskie.* A więc działa *patrjarchat kościoła greko-ortodoksyjnego,* i *patrjarchat greko-katolicki.* Mają swe centralne siedziby z pośród t. zw. kościołów wschodnich, *kościół koptyjski, nestorjański, jakobicki, syrjacki, chaldeeński i gregorjański.* Bez szczególnego wysiłku obserwacyjnego da się stwierdzić ścisłą łączność pomiędzy poszczególnymi mniejszościami narodowymi Środkowego Wschodu, a Sowietami. Równie łatwo da się stwierdzić bliska współdziałalność bezmała każdego z pośród licznych wyznań lewantyńskich, z odpowiednikami tych wyznań na terenie ZSRR.

Trzeba przyznać wielką znajomość rzeczy i umiejętność postępowania ekspozyturom sowieckim, wyznaczonym dla kooperacji z poszczególnymi narodami, a głównie już wyznaniami na Środkowym Wschodzie. Przecież religja w krajach Orjentu stanowi o kształtowaniu się oddzielnej psychiki jednostkowej i zamkniętych w sobie ustrojów społecznych. Dostanie się w obręb sekt i otaczających je zamkniętych ustrojów społecznych jest sztuką, której dokonała w ostatnim czasie polityka sowiecka.

Sowiety nie chcą narazić się ambicjom krajów arabskich. W polityce swej są jednak Sowiety przeciwne powstaniu jednolitego bloku arabskiego. Zwalczały myśl federacji arabskiej, nie uznały dotąd kairskiej Ligi Arabskiej, są przeciwne wysiłkom utworzenia Wielkiej Syrji. Ale aktywne zwalczanie bloku wszech-arabskiego pozostawiają Sowiety powolnym sobie ciałom *wewnątrz krajów arabskich.* W ciągu 1945 r. odbyły się *dwa zjazdy głów gmin chrześcijańskich na Lewancie.* Oba te zjazdy oświadczyły się przeciwko Lidze Arabskiej. Oba zjazdy występowały w obronie praw wyznawców kościołów chrześcijańskich, praw, którym ma zagrażać jednolity blok arabski. Przypatrzenie się strukturze obu kongresów chrześcijańskich, wskazuje niewątpliwie na inicjatywę sowiecką. Pierwszy kongres odbył się pod przewodnictwem patrjarchy Maronitów i na oko był reprezentacją obrządków wschodnich, podległych Rzymowi. Ale rola, jaką na tym kongresie odgrywał *przybyły z Erywanu papież Ormian gregorjańskich* (znany na Środkowym Wschodzie ze swej poprzedniej świeckiej działalności propagandysta sowiecki *profesor Abrahamian)* wykluczała wątpliwości co do tego komu uchwały kongresu miały służyć. Zwołany na jesieni 1945 do Libanu drugi chrześcijański kongres obejmował kościoły greko-ortodoksyjne, które *jawnie uznają zwierzchnictwo patrjarchatu Moskwy i Wszechrosji.* Nic więc dziwnego, że oba zjazdy obrządków chrześcijańskich na Środkowym Wschodzie zdołały bez narażania popularności Sowietów wśród Arabów, lansować politykę odpowiadającą ZSRR.

Oczywiście sięga sowiecka gra także i poza obręb sprzeczności, zachodzących pomiędzy kościołami chrześcijańskimi na Orjencie a polityką Arabów. Wykorzystywanie wewnętrznych sprzeczności pomiędzy krajami arabskimi, jak szczególnie wykorzystywanie zawiści dynastycznej między *Haszemitami* panującymi w Iraku i Transjordanji a królem *Ibn Saudem* — to dziedzina polityki sowieckiej naogół znana. Mniej znane jest rozgrywanie przez Sowiety ambicji niepodległościowych szczepów arabskich wewnątrz państw arabskich. Typowym przykładem jest podniecanie aspiracji niepodległościowych, nie oceniamy w tej chwili czy słusznych czy też niesłysznych, u mieszkańców *Dżebel el Druz* na południe od Damaszku. Popieranie polityczne i materjalne *Druzów* przez emisarjuszy sowieckich, jest tworzeniem przeciwwagi dla planu państwa wielkosyryjskiego.

Jest to odmienna metoda wygrywania mniejszości narodowych, niż ta, którą zastosowano w odniesieniu do *Kurdów i Azerbejdżan.* Obie te ostatnie narodowości zorganizowano na terenie Środkowego Wschodu do działalności powstańczych, których celem ma być oderwanie terytorjów granicznych od poszczególnych krajów arabskich i włączenie tych terytorjów do Związku Sowieckiego.

W wypadku zaś *Ormian,* zamieszkujących w znacznych liczbach wszystkie kraje środkowo-wschodnie, chodzi znów o co innego. *Chodzi o przesunięcie ludności, a nie terytorjów, do Sowietów.* Oczywiście, że to przesunięcie ma dać w skutkach możność motywowania pretensji terytorjalnych już poza obrębem środkowo-wschodnim, bo w tureckiej Anatolji. By się zatrzymać nieco na obecnie rozwijanej w krajach Środkowego Wschodu sowieckiej akcji w odniesieniu do Ormian, trzeba wskazać, że od listopada 1945 rozwijana jest przez wszystkie konsulaty sowieckie na terenie Egiptu, Sudanu, Etjopji. Syrji, Libanu, Iraku, Iranu, Palestyny, a także Cypru i Turcji *propaganda repatrjowania Ormian do Sowieckiej Republiki Armeńskiej.* Akcja ta ma zasięg niezwykle poważny. W samym Egipcie mieszka 420 tysięcy Ormian. W pozostałych krajach środkowo-wschodnich oblicza się ilość Ormian conajmniej na pół miljona. Repatrjacja choćby tylko części rozagitowanych Ormian ze Środkowego Wschodu do Sowietów, daje polityce sowieckiej do dyspozycji *element doskonale obeznany z problematyką lokalną wszystkich krajów arabskich od Zatoki Perskiej do ujścia Nilu i dalej.* Daje, poprzez zachowanie kontaktów pomiędzy repatrjantami a nie-repatrjowanymi Ormianami, stały wgląd, a także i silny wpływ na wydarzenia Środkowowschodnie. Już dziś papież kościoła armeńskiego, *Katolikos Grzegorz IV* zwrócił się do rządów państw sojuszniczych imieniem wszystkich Ormian żyjących, a więc imieniem mieszkańców Republiki Armeńskiej i imieniem emigracji ormiańskiej, z żądaniem "zwrotu armeńskich terytorjów zajętych siłą przez Turcję".

Byłoby niedocenianiem głębi sowieckiego wysiłku politycznego a także myślowego, gdyby przyjąć że sowiecka akcja różniczkowania narodów i wyznań na Środkowym Wschodzie działa tylko na powierzchni życia organizacyjnego, posługuje się tylko zjazdami przedstawicieli kościołów i związkami takimi jak "*Ligi Przyjaciół Kurdów*", czy "*Towarzystwa Przyjaciół Wolnej Armenji*", czy wreszcie "*Koła Przyjaciół Druzizmu*". Sowiety sięgnęły w swej działalności na terenie środkowowschodnim *do pożółkłych foljałów, kryjących w sobie najstarsze rozważania ludzkie, do foljałów, które tu właśnie nad Tygrysem i Eufratem, nad Jordanem i Nilem zapisywała ręka człowieka, który głowił się nad rozwiązywaniem nierozwiązalnych zagadek bytu.* Dlatego to najnowsza, przysyłana z Sowietów literatura, pisana w językach perskim i kurdyjskim, ormiańskim i starosyrjackim powraca

do wiecznie aktualnych, ale szczególnie na Orjencie palących kwestji teologicznych, takich jak *monofizyzm.* Te, zdawałoby się najbardziej abstrakcyjne rozważania, zawarte w literaturze wielojęzycznej, drukowanej w sowieckim Erywanie mają jednak głębokie zastosowanie praktyczne. Na Środkowym Wschodzie, a także poza nim, rozpowszechnione są sekty, czy właściwie *kościoły t. zw. monofizyczne, wywodzące swą wykładnię z pierwszych wieków po Chrystusie. Monofizytami są wyznawcy kościoła jakobickiego, melekickiego, wyznawcy kościoła koptyjskiego i abisyńskiego* i wreszcie, co dla zrozumienia tendencji religijnej literatury sowieckiej ma swoje znaczenie, *monofizytami są wyznawcy kościoła ormiańsko-gregorjańskiego, których papieżem jest Katolikos zamieszkały w sowieckim Erywanie.* Wśród wielu wytłumaczeń obecnej sowieckiej akcji religijnej na Środkowym Wschodzie, wydaje się być jedno najprawdopodobniejsze: *poprzez wzmocnienie wyznań mających historyczną i teologiczną łączność z podległem władzy sowieckiej wyznaniem ormiańsko - gregorjańskiem, przygotowują sobie Sowety możność wpływu na szereg kościołów wschodnich na takiej samej zasadzie, na jakiej próbują realizować swój wpływ na kościół greko-ortodoksyjny przez patrjarchat w Moskwie.*



ZAWODY SPORTOWE II KORPUSU ARMJI POLSKIEJ

CZY PODAM SIĘ O AMNESTIĘ?

Gdy już poczułem, że z pod mojej stopy
Usuwała się ziemia Europy
I albo morza zostawały głębie,
Albo azjackiej łaska ambasady,
Ja odleciałem, jak czynią gołębie,
Wężom i płazom zostawiając zdrady.

Więc nie pytajcie mię, czyli powrócę,
Więc nie pytajcie mnie, gdzie się podzieję!
Jam z tych poetów, co nie słówka nucę,
Ja to, co śpiewam, żyję i boleję...

I każdy wiersz ten miałem w mojej dłoni,
Jak okrętową linę w czasie burzy,
Kiedym się do was uśmiechał z nad toni, —
A wy mnie nęcić chcecie listkiem róży?

Schowajcież sobie te niewczesne kwiaty
I skarżcie raczej, żem zły, żem się zaciął,
Że nie chcę współczuć własnej i was straty,
Bo jam nie zdradził... nawet nieprzyjaciół.

1855, Paryż.

CYPRJAN K. NORWID

JANUSZ LASKOWSKI

Niemcy nie zrozumieli zbrodni

(KORESPONDENCJA WŁASNA "TYGODNIKA POLSKIEGO" NA PRAWACH WYŁĄCZNOŚCI)

Norymberga, dn. 28 grudnia 1945 r.

Niefortunne umieszczenie obozu prasowego w Stein pod Norymbergą całkowicie odcina dziennikarzy od miasta, jego nastrojów i Niemców. Z jednej strony ma to sens dodatni, z drugiej jednak—pozostawia olbrzymią dziedzinę pracy dziennikarskiej, jako nieprzeorany ugor.

Co Niemcy myślą o procesie, o oskarżonych, o hitleryźmie?

Nie wiemy. Żaden z nas nie wie. Bo mieskamy w wioszczynie STEIN, — w pałacu b. fabrykanta ołówków Fabera, odległym o 5 klm. od miasta. Powrót z sesji sądowych nie równa się dla żadnego z nas końcowi pracy. We wniosku zaś nie mamy żadnego kontaktu z miastem i nie możemy niczego wyczuwać. Wówczas bowiem, kiedy mogliśmy powłóczyć się wieczorem po ulicach, przecinających gruzy Norymbergi, — siedzimy w barze naszego obozu prasowego. Jechać zaś do miasta żaden z nas nie ma ochoty, bo naogół niewielu ludzi lubi marznąć w ciężarówce, przykrytej nieszczelnym brezentem i w dodatku wytrząsającej wszystkie wnętrzności na nierównym oddawna niepoprawianym bruku.

Jedyną okazją przyglądnięcia się Niemcom były dla nas święta, a raczej przerwa świąteczna w przewodzie sądowym. Tylko, że, jeśli o mnie chodzi, rozchorowałem się na dwa dni przed przerwą.

Prasa niemiecka informuje swoich czytelników dość solidnie. Proces norymberski zajmuje pismom tutejszym wiele miejsca. I Niemcy dowiadują się niejednej bolesnej prawdy o samych sobie. O ile — oczywiście — nie znali całej prawdy zbrodniczego regime'u hitlerowskiego już wcześniej. Dowiadują się m. in. takich rzeczy, jak hitlerowska metodyka odsyłania do obozów koncentracyjnych. W tym względzie ostatni dzień przewodu przed przerwą świąteczną przyniósł kilka rewelacyjnych danych. Trybunałowi przedstawiono list, będący odpowiedzią na telefoniczne zapytanie generała Waffen-SS Lornera co do stanu liczebnego obozów koncentracyjnych i odzieży więźniów.

Z listu tego dowiadujemy się, że w niemieckich obozach koncentracyjnych w dniu 1-szym sierpnia 1944 roku znajdowało się 379,167 więźniów mężczyzn i 145,119 więźniów kobiet. Ogółem więc było 524,286 więźniów.

Z listu, pisanego w dniu 15-ym sierpnia 1944 r. dowiadujemy się równocześnie, że "w drodze" do obozów koncentracyjnych znajduje się 612,000 osób. Dzielą się one na 7 kategoryj. Pięć z nich dotyczy Polaków.

1,—z Węgier (akcja antyżydowska) 90.000
2.—z Łodzi (z więzień i z ghetta) 60.000
3.—Polacy z General. Gubernatorstwa 15.000
4.—z "terytorjów wschodnich" — 10.000
5.—b. oficerowie polscy 17.000
6.—z Warszawy (Polacy) 400.000
7.—dalszy ciąg kontyngentów z Francji 20.000.

Jeszcze raz muszę tu zwrócić uwagę na datę listu, aby stwierdzić, że w dniu 15-tym sierpnia 1944 roku Niemcy nie mieli już żadnych "terytorjów wschodnich", czyli, że cała czwarta pozycja dotyczy również Polaków.

Wśród więźniów, znajdujących się jeszcze "w drodze" do obozów koncentracyjnych miało być 387.000 mężczyzn i 225.000 kobiet.

Generał Waffen-SS Lorner wspomina w swoim liście, że w związku ze znajdującym się w drodze do obozów koncentracyjnych transportem Żydów z Węgier można spodziewać się powiększenia liczby ubrań cywilnych. To samo dotyczy również i transportów Polaków. W nawiasie czytamy "Warszawa". W tym wypadku specjalnie chodzi o buty.

Innemi słowy kierownictwo obozów koncentracyjnych zawczasu wie o tem, iż w wyniku "akcji" na Węgrzech (antyżydowska akcja) i "Warszawy" ubrania stracą w obozach koncentracyjnych swoich właścicieli.

Bo właściciele ci zostaną w ten, czy inny sposób zamordowani...

Niemcy wiedzą o tym dokumencie. Bo prasa tutejsza pisała o tem w sprawozdaniach z rozprawy norymberskiej. Jaka reakcja Niemców?

Do Trybunału nadchodzi około 100 listów dziennie, pisanych przez różnych ludzi. Autorami listów są Niemcy. Otóż 20 proc. całości stanowią listy protestujące przeciwko sądzeniu przywódców narodu niemieckiego. Protesty te są wyrażane w formie gwałtownej i mniej gwałtownej, — w każdym jednak razie niedwuznacznej. Większość tych listów jest podpisana imieniem i nazwiskiem i zaopatrzona w adres nadawcy. Świadczy to o wyraźnem wyznawaniu wiary autorów tych listów. Protestują oni przeciwko Trybunałowi Międzynarodowemu i protestują przeciwko stawieniu przed sądem swoich "przywódców", przewidujących zawczasu m. in. i to, że kierowani do obozów koncentracyjnych ludzie stracą tam życie, co pozwala Niemcom liczyć na zwiększenie ilości ubrań cywilnych.

Większość listów wypowiada się jednak przeciwko oskarżonym. 40 procent listów domaga się skazania ich na śmierć. Wśród tych listów są takie, które domagają się "większej" kary. "Trzeba zastosować tortury wobec oskarżonych zbrodniarzy" — piszą Niemcy. I proponując n.p. poćwiartowanie oskarżonych, nie wykluczają też największej tortury, za którą uważają zesłanie na... Syberję.

Pozostałe 40 procent listów — to sprawy nie mające żadnego związku z procesem.

Richard Hofman był prezesem sądu okręgowego w Berlinie do roku 1939. Przesyła on Trybunałowi rękopis długiej broszury, którą zatytułował: "Niemiecki sąd nad 12-tu latami ustroju hitlerowskiego". Autor zdecydowanie potępia ten ustrój.

Jakaś kobieta żąda od Trybunału Międzynarodowego, aby odnalazł jej syna, który już po zakończeniu działań wojennych został w strefie sowieckiej "wzięty i nie wrócił". Matka nie zna szczegółów. Uważa jednak, że po wojnie fakt nie wracania nie może mieć miejsca.

"W Norymberdze sądzeni są przywódcy niemieccy za zbrodnie przeciw ludzkości, — za wywłaszczanie ludzi z ich siedzib, za gwałty, mordy i kradzież cudzego mienia. Jak można sądzić ich, jeżeli równocześnie w całej strefie sowieckiej w Niemczech dzieje się to samo w dalszym ciągu?"

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
157 East 64th Street
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Publisher and Editor:
Jan Lechoń
Adm. and Business Manager:
Dr. Leopold Obierek

Subscription
Monthly 80 cents
Half Yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

Wśród listów nie brak też i "donosów". Oto jakiś domorosły matematyk obliczył sobie, że Goering wyciągnał z terenów wschodnich 31.000.000-000 Reichsmarek na swój prywatny użytek.

Więzień Nr. 17,739 z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen pisze do Trybunału, że kolegował w obozie z niejakim Ernstem von Hohenbergiem, synem arcyksięcia Ferdynanda, zamordowanego w roku 1914-ym w Sarajewie. Nr. 17.739 z Sachsenhausen twierdzi, iż widział osobiste pismo Goeringa, nakazujące przydzielanie wszystkich Hohenbergów (bo cała rodzina przebywała w obozie) do najbrudniejszej roboty. W wyniku tego listu Ernst von Hohenberg został wyznaczony, jako "lewy koń u dyszla kloacznego wozu" — "linkes Seitenpferd am Jauchewagen".

Ktoś inny dzieli się z Trybunałem "rewelacją" na temat Hessa. "To jest homoseksualista" — pisze.

Ktoś inny uważa, że skazując oskarżonych na karę śmierci Trybunał zrobi głupstwo, gdyż "oskarżeni powinni odpracować zniszczenie wojenne, będące wynikiem ich zbrodni". Oto chociażby taki Hermann Goering. "Mój dom jest zburzony" — pisze autor listu — "i będę musiał go odbudować. Chętnie widziałbym Hermanna Goeringa, jako robotnika u mnie. Niech odbuduje to, co z jego winy zostało zburzone".

"Nie może być w Niemczech dobrze — pisze zwolennik Partji Chrześcijańsko-Socjalistycznej — "bo najlepsza partja niemiecka — Chrześcijańscy Socjaliści — zakazała wstępu b. członkom partji hitlerowskiej, wśród których — jak wiadomo — było bardzo wielu porządnych ludzi. Kto więc będzie teraz wstępował do Partji Chrześcijańsko-Socjalistycznej? Same wybierki? A wówczas kto będzie mógł przeciwstawić się komunizmowi?"

Znalazł się nawet taki gorliwiec, który przysłał Trybunałowi tekst przemówienia Adolfa Hitlera, wygłoszonego po kapitulacji Francji w roku 1940. Mowa ta jest w oczach Niemca dowodem dobrej woli utrzymania pokoju ze strony Hitlera. "Jeżeli Hitler proponował w roku 1940-ym pokój, a Anglja odrzuciła tę propozycję, to nie Niemcy, lecz Anglja jest winna wojennego zniszczenia Europy".

Tak oto wyglądają dostępne dla mnie nastroje niemieckie.

A miasto?

Miasto interesuje się całkiem innemi rzeczami. Np. gdzie można dostać drzewa na opał? Albo: czy można kupić papierosy?

Ulicami, przebiegającemi wśród ruin Norymbergi krążą ludzie zatroskani i beztroscy. Zatroskani własnemi, małemi sprawami, ważnemi w życiu każdego człowieka, bo dotyczącemi jego domu, jedzenia, i najbliższych. Beztroscy zaś — bo całkiem obojętni dla spraw t. zw. "wielkich".

Kelner, usługujący w naszym obozie prasowym prosił mnie dzisiaj o fotografję Gdańska, bo słyszał, że mam.

— Chciałbym mieć pamiątkę z mego rodzinnego miasta. — powiedział. — Podobno Gdańsk jest zburzony.

Młodziutki niebieskooki blondynek, z którym wdałem się w rozmowę na ulicy, martwił się jedynie tem, że jego starszy brat jeszcze nie wrócił z niewoli, — z Francji.

— Już przeszło rok jest w niewoli... — biadał.

Szofer, który mnie kiedyś wiózł do pobliskiego obozu b. jeńców wojennych, zapytywał, jak długo będzie trwał proces.

— Nie wiem. Ale myślę, że dość długo.

— To dobrze. Przynajmniej będę miał pracę przez całą zimę.

I gestem dumy wskazał mi niezbyt uszkodzony budynek.

— To są koszary SS. — powiedział — SS Kaserne.

Ulica, na której mieści się sąd, jest na dość dużej przestrzeni zamknięta dla publiczności. Nawet tramwaje nie mogą zatrzymywać się w pobliżu sądu. Podczas ferji świątecznych ulica została otwarta. Ponieważ zaś w gmachu sądu mieści się magazyn Post Exchange, na ulicy pokazało się sporo dzieci usiłujących wyżebrać słodycze od żołnierzy amerykańskich.

— Sir, chocolate please. — szwargoczą Niemczątka, wyciągając rękę, jakby były zawodowymi żebrakami.

I potrafią długo iść obok żołnierza, kalkulując na znudzenie go natręctwem i jałmużnę "na odczepnego".

Przepełnione tramwaje są dziwnie ciche i spokojne. Publiczność niemal nie rozmawia, w każdym zaś razie rozmowy są prowadzone półgłosem. Widocznie dlatego, by nie docierały do niepowołanych uszu. Ilekroć wsiadam do tramwaju, czuję na sobie spojrzenia niemieckich pasażerów, przechylających głowy, aby odczytać na mojej kurtce marynarskiej napis "Polish War Correspondent". Czy dziwi ich, że jestem Polakiem? Co myślą?

Ruch przedświąteczny w ruinach Norymbergi nosił wyraźne znamiona nadchodzącego Bożego Narodzenia. Na ulicach pełno było niewielkich wózków ręcznych, któremi ludność przewoziła do domów choinki, kupione na targu. W śródmieściach Norymbergi choinki sprzedawano niemal na każdym placu, a nawet na ulicach, wykorzystując rozwalone domy, jako "składnice".

Kiedy zapytałem przygodnego rozmówcę, czy dawno mieszka w Norymberdze, odpowiedział, że od 16-tu lat.

— Całe życie mieszkam tutaj. Ja mam 16 lat.

— Czy lubisz Norymbergę?

— Bardzo... Bardzo lubiłem, bo teraz przecież miasta niema. A to było ładne miasto. Trudno: wojna zniszczyła.

— To poco zaczynaliście wojnę?

Młody człowiek patrzy na mnie ze zdziwieniem. Nie rozumie. Wiem to napewno, że mnie nie rozumie.

I myślę, że to jest najlepsze określenie nastrojów niemieckich w związku z procesem norymberskim. Większość Niemców poprostu nie rozumie, na czem polega nietylko sam proces, ale na czem polega zbrodnia ustroju hitlerowskiego. Zbrodnia wobec ludzkości.

Młodociany czyściciel butów zapytał mnie, jak jest po angielsku "powiesić".

Charakterystyczne zainteresowanie młodego człowieka, — prawda?

Tym razem było to jednak w związku z procesem norymberskim, który Niemców obchodzi i interesuje znacznie więcej z punktu widzenia zachowania się oskarżonych, niż z punktu widzenia zbrodniczości hitlerowskiej polityki.

Bo zbrodni samej Niemcy jeszcze nie zrozumieli, chociaż przeczytali wszystko o obozach koncentracyjnych i o traktowaniu robotników cudzoziemskich, o egzekucjach masowych i o zbiorowej odpowiedzialności, wprowadzonej przez hitleryzm na urągowisko etyki prawniczej XX wieku. Zbrodni nie zrozumieli wcale...

Jest to rzecz tak wyraźnie rzucająca się w oczy, że aż mi przykro. Budzi się bowiem pytanie i wątpliwość: czy, aby zrozumieć zbrodnię trzeba być jej ofiarą?

Jeśli tak jest, — Niemcy nie zrozumieją zbrodni nigdy, gdyż świat zachodni nie stosuje i nie toleruje zbrodni. Zrozumieć ją wypadnie znowuż nam, jakby niespełniony był jeszcze kielich goryczy wlewany od 6-ciu lat obcą ręką w przemocą rozwarte usta.

ZOFJA KOSSAK

WIGILJA NA PAWIAKU

Najbardziej zdziczałym z oprawców niemieckich, wyżywających się w czasie okupacji hitlerowskiej na ludności polskiej, był niewątpliwie Burckl "Oberscharfuhrer" Pawiaka, nałogowy sadysta. Zwyrodniała wyobraźnia podsuwała mu bogate pomysły mąk, a nieograniczona władza nad kilku tysiącami bezbronnych mężczyzn i kobiet zezwalała na ich realizację. To też więźniowie bledli z trwogi słysząc jego kroki. Burckl osobiście zadawał tortury, stawiał więźniów nagich na baczność pod natryskiem wrzątku, pastwił się ze szczególną rozkoszą nad młodymi dziewczętami, przedłużał cierpienia swych ofiar, odraczając jak najdłużej łaskę śmierci. Chorobliwie podniecony, nie przestawał pożądać widoku cudzej męki, jak pijak pożąda wódki. Był doskonałym okazem patologicznego zboczeńca, któremu sadyzm przeżarł mózg i nerwy.

A jednak w życiu tegoż samego Burckla zdarzył się fakt dziwny, całkowicie autentyczny, którego świadkowie żyją dotąd i mogą prawdziwość opowiadania potwierdzić.

Zbliżyło się Boże Narodzenie 42 roku i Warszawa czyniła przygotowania do okupacyjnych, niewesołych świąt. W świętach Pawiak musiał brać udział. Miłość bowiem, jaką ludność stolicy otaczała więźniów politycznych, była wzruszająca i bezprzykładna. Dziesiątki tysięcy ludzi zastanawiało się nad tem, co więźniowie dostaną na święta, więcej niż nad tem, co sami będą jedli. Przemycenie na Pawiak odpowiedniej ilości paczek stawało się najważniejszem zagadnieniem chwili. Część tych paczek szła jawnie przez Patronat Więzienny, pracujący niestrudzenie i ofiarnie z Lolą Danielewicz i Melchjorową Wańkowiczową na czele — resztę wraz z "grypsami" i komunikatami z frontu przenosiły tajnie bohaterskie oddziałowe Myszka Krysiakowa i Zofja Dollingerowa.

Dostarczone na Pawiak produkty składano w szpitalu więziennym na oddziele zakaźnym, do którego Niemcy bali się wchodzić, poczem lekarki — szczególnie "kolumna sanitarna" mająca możność poruszania się w więzieniu, roznosiły je tajemnie po celach. Ryzyko było śmiertelne, ale nikt na to nie zważał. Gdy "kolumna" t. j. Jadzia Jędrzejewska i Ludka nie mogły poradzić same, wkraczała "Nono" (dr. Irena Konowicz), znana z tego, iż potrafiła przenieść pod fartuchem dwa bochenki chleba i parę kilo boczku, zachowując przytem wyraz twarzy niezmącenie niefrasobliwy i naiwny, usypiający czujność każdego "wachtmeistra". Pomagało ciche wspólnictwo strażników Ukraińców, Iwasia i Wasyla, łasych na datki i smakołyki, których im nie szczędzono, byle przymknęli oko w porę.

I tak w dzień wilji nie było na Pawiaku ani jednego więźnia czy więźniarki którzyby nie zostali obdarowani. Nawet do "izolatek", odciętych od świata i surowo strzeżonych, dotarła bogata paczka świąteczna. Składały się na nią: boczek, kiełbasa, strucla z makiem, pierniki, jabłka, orzechy, opłatek, życzenia imienne od rodziny i bezimienne od rodaków, od wielkiej wspólnej rodziny Polski Walczącej, oraz gałązeczki świerczyny przewitej złotą nicią.

Ludzie skazani na śmierć, oczekujący każdej godziny wykonania wyroku, ludzie skatowani, których gnijące rany powstałe z pobicia, okropne nekrozy, cuchnęły nie do zniesienia, czyniąc człowieka ohydnym sobie samemu, ludzie, którym się zdawało iż są duszami potępionymi — witali paczkę, zieloną gałązeczkę, opłatek i życzliwe słowa radośnie, niby stwierdzenie, że Bóg o nich całkiem nie zapomniał.

Gdy wszyscy byli już zaopatrzeni, personel szpitalny mógł pomyśleć o sobie. Składali się nań: dr. Hanka Czuperska, dr. Krystyna Dering, dr. Ania Sipowicz, dr. Marysia Kopeć, Wandzia Wilczańska, zarządzająca szpitala, wspomniana już "Nono" i kolumna "sanitarna", oraz lekarze Zygmunt Śliwicki i ukochany przez wszystkich więźniów Feliks Loth.

Cała ta grupa pozostawała w więzieniu od pierwszych lat okupacji, wszyscy obciążeni politycznemi sprawami, wszyscy posiadali wyroki śmierci, których wykonanie trwało w zawieszeniu, gdyż lekarze byli potrzebni. Wiedzieli, że każdej chwili mogą zostać zlikwidowani i że nie mają żadnej nadziei wyjścia z więzienia. Nic nie mogło pogorszyć ich losu i ta świadomość czyniła ich nieustraszonymi.

Szpital kobiecy i męski były centralą więziennego ruchu podziemnego. Tam przychodziły "grypsy", komunikaty i tajnie przechowywana ostatnia pociecha konających: Komunja święta. Równocześnie, ta grupa lekarzy i lekarek-skazańców, mogła — gdyby chciała — uciec. Pewne okno parterowe miało przepiłowane kraty, trzymające się tylko na włosku, zasmarowane farbą dla niepoznaki... Spoić bardziej niż kiedykolwiek Ukraińców i — hajda! na świat! Na wolny świat! Nie drżeć przed Burcklem ,zobaczyć swoich, zachłysnąć się powietrzem, zobaczyć zieleń inną niż suchotnicza akacja, widna zza muru Pawiaka, stanowiąca jedyny sygnał, że wiosna nadchodzi lub, że lato mija.. Naprawdę to było i łatwe i proste. A zarazem niemożliwe. Bo cóżby się wtedy stało z więźniami, z pracą, z siecią? Niemożliwe. I choć pragnęli żyć, i choć wszyscy byli młodzi, nie skorzystali z podpiłowanej kraty i oto teraz mieli obchodzić trzecią wilję więzienną.

Wieczerzę wigilijną postanowiono spożyć wspólnie w celi lekarek. Impreza była w najwyższym stopniu niebezpieczna, grożąca w razie odkrycia śmiercią całego zespołu, ale nie takie szaleństwa robiono, poza tym Ukraińcy obiecali życzliwą neutralność. Burckl został — jak dano znać z miasta—zaproszony przez Gestapo z Alei Szucha, co do "wachtmeistrów" zaś wiadomo było, że skoro Burckla nie ma, będą woleli pić społem niż dokonywać nadliczbowych inspekcji. Od 11-tej do 1-szej w nocy nie pokaże się żaden z nich napewno.

Stół był nakryty schludnie białym prześcieradłem, a stały na nim strucle, śledź, mak, miód, sałata i różne przysmaki. Nawet wódka. I opłatki.

Zaczęli się nimi łamać. Zaledwie wzięli w palce kruchą, białą substancję, ogarnął ich czar. Stanęły przed nimi jak żywe, dawno pożegnane domy, ukochane twarze, spędzane niegdyś wspólnie wigilijne wieczory we własnem mieszkaniu, w zapachu jedliny, blasku świeczek, w radości i bezpieczeństwie. Te obrazy, tak odmienne od otaczającego ich piekła, że zdawały się zazwyczaj nierealne, ożyły stanęły tuż... Obok zaś lic i oczu najdroższych, stłoczyła się falą wspomnień gromada towarzyszy i przyjaciół, którzy już odeszli i tych wszystkich, co tu, w murach tego więzienia, na ich rękach konali, tych młodych chłopców i dziewcząt co skatowani umierali, albo wyprowadzeni byli stąd na rozstrzelanie.

I żywi tak się zapatrzyli w te obrazy, że nikt z nich nie zauważył złowrogiego szczęknięcia kraty na dole, zamykającej oddział, ani nie posłyszał kroków, i ocknęli się dopiero, gdy drzwi otwarły się nagle i na progu stanął — Burckl. On sam.

Śmierć Kostucha jawiąca się widomie zdałaby się przy nim zjawą słodką i kojącą. To było coś stokroć gorszego niż śmierć. To był Burckl. Stał pokraczny, nabrzmiały i patrzył. Przy nim, na krótkiej smyczy, nieodstępny pies, straszna bestja, specjalnie trenowany, by jednem szarpnięciem kłów wyrywał mężczyznom jądra, kobietom piersi. Stoi przy panu błyskając o-

trutnemi ślepiami. Burckl patrzy na obecnych, na stół zastawiony, na opłatek bielejący w zmartwiałych, skamieniałych z przerażenia dłoniach.

Jest cisza. Cisza pełna grozy. Słychać tylko pożądliwe dyszenie psa.

Tupot kroków na korytarzu. Jak rozjuszone byki wpadają Iwaś i Wasyl. Dowiedzieli się, że pan "Oberscharfuhrer" poszedł na szpital i przerażeni możliwością ujawnienia ich wspólnictwa gotowi są tłuc, bić, pasy drzeć... Pies podniecony tym nastrojem szarpie niecierpliwie smycz, dławi się złością.

Lecz Burckl daje znak Ukraińcom, by czekali na korytarzu, psu, by legł. Wilczur przysiada z żalem. Winowajcy stoją nadal znieruchomiali. Wszelka przytomna myśl uciekła im z mózgu, została tylko groza.

Groza rośnie z każdą chwilą. Czem dłużej Burckl się namyśla, tem okrutniejszą mękę zada. Ach, gdyby ich poprostu teraz, tu, na miejscu zabił! Lecz tego nie uczyni. Co wymyśli? Może każe psu zagryzać ich po kolei? Może wyprowadzi na podwórze, obleje benzyną i podpali? Może pomaleńku obcęgami będzie im obrywał członki? Bo o ułaskawieniu nikt nie marzy. Burckl i litość!? Mówią wprawdzie stare bajki, że kiedyś głodny lew uszanował niemowlę, lub że tygrys cofnął się przed łzami dziewicy. Ale to były dzikie zwierzęta, a tutaj jest Burckl, wilkołak, szatan. I czują, że jeszcze chwila, a poczną wyć z trwogi. Jeszcze chwila, a padną na ziemię krzycząc nieprzytomnie: Kończ!

Minuty mijają, pies dyszy. Burckl poruszył się. Podszedł do stołu, nalał sobie wódki, wypił. I znów stoi nieruchomo patrząc bezmyślnie przed siebie. Ukraińcy spoglądają po sobie ze zdumieniem, pies ziewa.

Cóż to się dzieje? Jakie moce zmagają się w tej chwili w celi? Czy Burckl pijany? Ależ wtedy właśnie bywa najstraszliwszy. Czy oszalał? Chory? Czy może łopot anielskich skrzydeł zwiastujących o tej godzinie właśnie pokój ludziom dobrej woli, przeniknął grubą powłokę nałogu zbrodni i poraził kata echem jakichś prawd, dawno zapomnianych? Może Burckl przeżywa ów moment Łaski, jakiego Bóg miłosierny użycza najprzewrotniejszemu łotrowi, moment, w którym można stanąć i zawrócić z drogi. Gdy niewidzialne dłonie pomagają w tym, głosy tajemne szepczą: zawróć, zawróć, odmień się!?

— Warum setzen Sie sich nicht? Czemu nie siadacie?

Kto to powiedział? Kto wyrzekł spokojnie te proste słowa brzmiące w naprężonej ciszy niby: Pokój wam!? Burckl? Naprawdę Burckl?

Oto bez słowa robi zwrot w tył i wychodzi. Pies ociąga się zawiedziony. Ukraińcy idą za psem, zatrzaskują drzwi celi. Po chwili na dole szczęka krata. Wyszli.

— Wyszli... — powtarza ktoś zdławionym głosem.

Wszyscy padają na krzesła, bo zwiotczałe nogi nie są w stanie ich utrzymać. Patrzą na siebie osłupiałemi oczyma. Prawda to, czy sen? Czy rzeczywiście był tu Burckl i odszedł nie wyrządziwszy krzywdy nikomu? Co się stanie jutro?... Jutro jest daleko. Tymczasem stał się cud, bo oto żyją, miast konać w mękach... Cud Bożego Narodzenia...

* * *

Dziwna odmiana Burckla nie trwała dłużej niż noc wigilijną. Już nazajutrz "Oberscharfuhrer" pędzał batem bosych mężczyzn po gorących żużlach, wygarniętych na ten cel z pieca, smagał na śmierć dziewczęta i własnoręcznie rozstrzeliwał skazańców, pies miał zakrwawioną mordę. Ale do szpitala Burckl nie zaszedł przez dziesięć dni, a gdy wpadł pierwszy raz z wrzaskiem, krzykiem, rozdając razy na prawo i na lewo, nienapomknął ani słowem o wykrytej wieczerzy i nigdy, nigdy, do tej sprawy nie wrócił. W spiętrzonej masie okrucieństw i zbrodni, epizod wigilijny pozostał oderwany i obcy. Może dlatego by gdy w kilka miesięcy później, kat Pawiaka padł na rogu Marszałkowskiej i Litewskiej przeszyty kulami mścicieli Polski Podziemnej, dusza jego mogła krzyknąć:

— Boże! Pamiętaj, że byłem kiedyś przez chwilę człowiekiem!

MARJAN CZUCHNOWSKI

ŚWIT

Z połysku morza i brzasku
Czarny się okręt wynurzył.
Jest cicho. Jakiś żołnierz w kasku
Myje pokład po burzy.

Mewy śpiące w zatoce.
Jakiś sztandar, co z lękiem łopoce.
A tam fale pienią się i garną
W bury kłąb za morską latarnią.

Powiew. W mieście syreny.
Ratusza błysnął szczyt.
Schodzimy. Po co? Nie wiemy.
Jakież to okropne; znowu błyska świt.



Harcerze polscy i żydowscy w Palestynie

W. Z. STĘPNIEWSKI

Antoni Kocjan — konstruktor lotniczy

Na nieskończenie długiej liście strat poniesionych przez różne dziedziny zycia polskiego, a między innemi i przez technikę polską, przybyło nowe imię: Przed paru dniami przyszła na ten kontynent wiadomość o bohaterskiej śmierci w czasie Powstania Warszawskiego jednej z czołowych postaci lotnictwa polskiego — Antoniego Kocjana.

Antoni Kocjan, jeden z najwybitniejszych naszych konstruktorów szybowcowych, był szeroko znany tysiącom naszej młodzieży latającej. Zapewne i wśród czyteników "Tygodnika" jest wielu takich co latali na Jego maszynach. Należał On bowiem do tych pionierów, dzięki którym latanie zaczynało stawać się w Polsce naprawdę sportem mas. Pełnej zapału młodzieży, reprezentującej chyba dosłownie wszystkie klasy społeczne, otwierała się w Polsce ta droga do latania, o której mogli tylko marzyć ich rówieśnicy w wielu innych, bardziej zamożnych krajach. Ten wróżący najlepsze nadzieje na przyszłość, program uczynienia Polaków narodem lotniczym, stał się możliwym do spełnienia dzięki poparciu całego społeczeństwa z jednej strony, lecz jeszcze bardziej dzięki wysiłkom takich ludzi jak Kocjan, którego szybowce szkolne jak "Wrona" i "Czajka" stały się realnym narzędziem realizacji tego programu. Inne szybowce Kocjana jak "Komar" i jeszcze bardziej "Orlik", otwierały przed bardziej zaawansowanymi pilotami baśniową krainę chmur z pełnią najpiękniejszych przeżyć sportowych.

Idąc wytkniętą wyraźnie drogą zbliżenia społeczeństwa do lotnictwa, konstruuje Kocjan na parę lat przed wojną niezmiernie ekonomiczną w użyciu maszynę, rodzaj motocykla powietrznego — motoszybowiec "Bąk". Szczekot niewiele co ponad piętnasto-konnych silników tych Bąków i smukłe kształty ich skrzydeł zdają się łączyć nierozerwalnie z wyobrażeniem Pola Mokotowskiego w pogodne wieczory lotów klubowych. Ta mała maszyna, przedmiot marzeń chyba wszystkich pilotów szybowcowych, mogła się poszczycić dość niezwykłemi zdobyczami: dzierżyła ona bowiem, i wciąż jeszcze dzierży, dwa międzynarodowe rekordy lotnicze: wysokości i czasu lotu.

Bezsprzecznie Kocjan miał w swej karjerze technicznej piękne osiągnięcia, lecz droga, którą doszedł do nich nie była łatwa. Była to droga nieustannego wysiłku i walki. Pozostający w ciężkich warunkach finansowych musi się przebijać o własnych siłach przez starsze klasy gimnazjum, a następnie przez Politechnikę Warszawską. Tu na Politechnice styka się ze słynnym zespołem konstruktorów-studentów RWD (Rogalski, Wigura, Drzewiecki). Pomaga im własnoręcznie budować ich pierwsze maszyny w podziemiach nowej kreślarni, potem zostaje kierownikiem ich warsztatów lotniczych, by wreszcie otworzyć swe własne Warszawskie Warsztaty Szybowcowe.

Prowadząc te warsztaty cały swój czas dzieli pomiędzy sprawy techniczne i ciągłą walkę z trudnościami finansowemi. Umie pokonać i jedne i drugie, lecz czas Jego jest tak doskonale podzielony między te dwa zagadnienia, iż bardzo go mało zostaje na sen. Ale nawet i z tych niewielu chwil pozostających na wypoczynek uszczknie jeszcze coś niecoś na latanie. Małego wzrostu, cichy i raczej zażenowanie nieśmiały w obejściu, umiał przecież z niezwykłym uporem i wolą dążyć do wytkniętych sobie celów. W pokojowych czasach nigdzie chyba tak często jak w lataniu nie zdarzają się sytuacje gdzie człowiek musi okazać prawdziwą wartość swego charakteru, to też powszechna opinja kolegów o Kocjanie, że jest "twardy w lataniu" świadczyła o Jego zaletach lepiej niż bardziej szczegółowa analiza psychologiczna. Miał oczywiście Kocjan i piękne miękkie odcienie Swego charakteru i umiał je okazać, lecz jakże dyskretnie, w mnóstwie dobrego, które czynił, oraz we wprost przysłowiowej miłości do zwierząt.

W początkach wojny ciągnie i Kocjan wraz z ogólnym strumieniem polskich techników lotniczych na południe do owych tajemniczych ośrodków podgórskich, gdzie mają się montować nadeszłe zzagranicy samoloty, by pomścić dnie walk omal-że bezbronnych. W Lublinie dosięga Go bomba niemiecka, odgrzebany spod gruzów, ciężko kontuzjowany, zastyga w postanowieniu przedarcia się w kierunku walczącej Warszawy.

O dalszych Jego losach mówi list jednego z kolegów, świeżo nadeszły z Londynu: "Antek po dziewięciomiesięcznym pobycie w Oświęcimiu został w roku 1940 wyciągnięty w sprytny sposób z obozu jako konieczny do prac w fabryce pracującej dla Niemców. Wyszedł z obozu jako Antek-Bestja! Zamilkł kompletnie. Żył tylko myślą zemsty na Niemcach. Odważny był w granicach niespotykanych. Prowadził pracę konspiracyjną w sposób graniczący z szaleństwem. Na jego zamówienia Niemcy wykonywali w swych fabrykach części do broni fabrykowanej przez Niego dla Armji Krajowej, nawet nie domyślając się tego. Warsztaty Jego to była wytwórnia broni i amunicji oraz tajna drukarnia! Złapany w okresie Powstania Warszawskiego został zmasakrowany tak na Pawiaku, że nie nadawał się do transportacji wgłąb Niemiec. Zmarł tamże 13 sierpnia 1944. Pełne dzieje bohaterskich walk i zmagań Antka staną się wiadome, gdy przestanie być głucho o żołnierzach b. A. K.

Jeżeli pozwalamy sobie zabrać trochę miejsca na łamach "Tygodnika", na te wspomnienia, to czynimy to nietylko dlatego, iż Kocjan zasługuje na to jako jednostka, lecz również i w tem przekonaniu, iż jest On reprezentantem i jednym z najpiękniejszych symbolów tego pokolenia technicznego, które w niepodległej Polsce stanęło do najbardziej twórczej pracy i które dało Polsce rzetelne osiągnięcia techniczne od własnych konstrukcji samolotów do fabryk syntecznej gumy i stalowni w C.O.P.ie, oraz taki rozwój wybrzeża o jakim śnił w swym "Wietrze od Morza" wieszcz wysiłku technicznego Żeromski.

W POPRZEDNIM NR. 3 (160)

"TYGODNIKA POLSKIEGO"



RUINY ŁAZIENEK



RUINY PLACU ZAMKOWEGO W WARSZAWIE

JERZY ANDRZEJEWSKI

"PRZED SĄDEM"

(Dokończenie)

— To Mozarta — objaśnia Karol, kiedy serenada skończyła się. — Podobało ci się?

— Owszem — odpowiada Piotr.

Potem, późnym wieczorem, Karol odprowadza Piotra do leśniczówki. Idą lasem. Pada marcowy deszcz. Ziemia paruje świeżą wilgocią. Powiew wiatru z nad łąk za Rudawicą jest łagodny i ciepły. Wysoko ponad chmurnem niebem, jak gdyby do innego, doskonalszego nieba należąc, prześwituje kilka nieśmiałych gwiazd.

— Popatrz! — odzywa się Karol — już niedługo będzie wiosna.

— Tak wygląda — potwierdza Piotr.

Wstrząsnął nim chłód. Otworzył oczy. W izbie, podobnie jak na dworze, było niebiesko. Sprawiało to wrażenie, że nic jej wnętrza nie odgradza od zmierzchu. Żar papierosa nikłym blaskiem oświetlał siedzącego przy oknie żołnierza, jego twarz nieobecną, znieruchomiałą w zapatrzeniu.

Piotr poruszył się. Tamten drgnął i szybko się ku niemu obrócił. Po chwili wstał i podszedł bliżej. Spoglądali na siebie w milczeniu.

— Zigaretten? — spytał Niemiec.

Piotr skinął głową. Gdy żołnierz podsunął paczkę, wziął jednego. Ledwie dotknął nim ust, od razu poczuł, jak bardzo ma wargi obrzękłe i obolałe. Odpalił jednak od żołnierza i zaciągnął się. Zakrztusił się natychmiast i rozkaszlał. Każde poruszenie ostrym bólem łamało mu głowę i piersi. Wreszcie uspokoił się, lecz bał się wyprostować, aby znowu bólu nie rozjątrzyć. Papieros, który wypadł mu z ręki, żarzył się na podłodze. Żołnierz przygniótł go butem. Ciągle przypatrywał się Piotrowi. Na koniec wolno i z namysłem powiedział:

— Umierać... nie chce? Nie.. szkoda...

Piotr nie poruszył się. Umierać? To słowo wymówione ze złym, śmiesznym, akcentem, wydało mu się puste, nic nie wyrażające.

— Moje życie wcale nie jest ciekawe — mówi Piotr.

Karol spogląda na niego.

— Cóż ty możesz o tem wiedzieć?

Karol milczy. Dopiero po chwili odzywa się z wolnym namysłem.

— Nie zawsze wiemy, co jest w naszem życiu ważne.

Piotr wstaje nagle i zatrzymuje się przy otwartem oknie.

— Kiedy w mojem życiu naprawdę nie ma nic ważnego. Ja nie jestem ważny, to wszystko.

Patrzy w noc. Sierpniowa gwiazda toczy się po niebie jak strumień ognisty. Smuga mgły pod lasem rozpościera się tak równo, jakby bielała tam płytka woda. Piotr siada na oknie.

— Owszem, lubiło mnie wielu ludzi. Ale dla żadnej kobiety ani dla żadnego mężczyzny nie jestem niezbędny. Nikomu nie jestem potrzebny. Mogę być, mogę nie być, to na jedno wychodzi.

Spogląda dalej na podwórze. W pewnej chwili słyszy, że Karol wstaje. Chodzi teraz po izbie.

—Lelek przeleciał—zauważył Piotr.

Karol zatrzymuje się.

— Ja myślę — zaczyna z poprzednim namysłem — że owszem, to jest ważne być niezbędnym dla jakiegoś człowieka. Ale może jeszcze więcej znaczy, gdy ktoś drugi jest niezbędny.

Piotr wychyla się i przesuwa dłoń po szorstkich słonecznikach rosnących pod oknem.

— Bałbym się tego.

Karol spogląda na niego ze zdziwieniem.

— Dlaczego?

Chwila ciszy.

— Dlaczego? — powtarza.

Piotr wyłuskuje niedojrzałe, miękkie ziarna i ciska je za okno, w zielony gąszcz.

— Nie wiem — odpowiada wreszcie. — Ale bałbym się.

Naraz od strony lasu dobiegł Piotra warkot motoru. Jednocześnie usłyszał własny głos wymawiający nazwisko Karola. Nim otworzył oczy, zdał sobie sprawę, że Niemcy jadą po Karola do Rudawicy. W izbie było mroczno, za oknem stała noc. Chciał podnieść się, biec, odwołać oskarżenie. Ale zbrakło mu sił. Tylko świadomość pracowała w nim coraz sprawniej i jaśniej.

Wtem, gwałtownie zgrzytając hamulcami, samochód zatrzymał się przed leśniczówką.

Żołnierz pilnujący Piotra wyprostował się. Na dworze krzyknął ktoś donośnie. Piotr natychmiast rozpoznał głos porucznika. Równocześnie do sionki wtargnął tupot ciężkich butów. Drzwi otworzyły się pchnięte kopnięciem i ogromne cienie zapełniły niską izbę. Duża latarnia karbidowa, chybocząca w ręku jednego z żołnierzy, rozjaśniała mrok żółtym poblaskiem.

Piotrowi, skulonemu na stołku, ogień przeleciał przez piersi. Serce w nim zamarło na moment. Ktoś chwycił go oburącz za ramiona, szarpnął i zmusił do wstania. Podniósł głowę.

O krok zaledwie od siebie ujrzał Karola pomiędzy kilkoma ogromnymi żołnierzami. Wydał się wśród nich drobny i wątły. Miał na sobie codzienną, szarą kurtkę. Był blady, lecz spokojny. Gdy spojrzenia ich spotkały się, Piotr zadrżał. Od razu zrozumiał, że Karol wie wszystko. Ale nie znalazł w jego oczach nienawiści, ani potępienia. Pokonany, pochylił głowę. Trzymał się na nogach ostatkiem sił. Całą twarz miał umaczaną we krwi, oczy zapadnięte w głąb zczerniałych jam.

— Bałem się... — szepnął opuchniętemi wargami.

Najbliżej stojący żołnierz trącił go w plecy karabinem.

— Maul halten! — krzyknął.

Szybkie kroki rozległy się w sieni. Żołnierze natychmiast wyprostowali się na baczność.

Pierwszy wszedł wysoki porucznik, za nim, z rękoma w kieszeniach płaszcza, jasnowłosy junkier. Młodszy przystanął przy progu, tamten zaś ze środka izby ogarnął zebranych krótkiem spojrzeniem. Gdy dostrzegł Karola, doskoczył do niego z zaciśniętymi pięściami i z miejsca wybuchnął rozwścieczonym wrzaskiem. Chłodny dotychczas, opanowany i pogardliwy Niemiec, przemienił się w mgnieniu oka w innego zupełnie człowieka.

Karol przybladł silniej, jednak ani na chwilę nie oderwał oczu od zapienionego oficera. Wpatrywał się w niego spokojnie, z nasileniem, które jeden tylko Piotr uchwycił. I spokój przyjaciela jemu się udzielił.

Wyprostował się.

— Skłamałem — powiedział głośno. — On nie miał z tem nic wspólnego. Tylko ja.

Porucznik nie spostrzegłszy zrazu, kto mu się ośmielił przerwać, w pierwszej chwili zaniemówił. Zorjentowawszy się, że to Piotr wbił w niego białe z wściekłości oczy.

— Was?

Piotr odetchnął głębiej.

— Skłamałem — powtórzył. — On jest niewinny.

— Raus! — wrzasnął tamten.

Tymczasem Kaczyński przysunął się ku niemu i jąkając się począł coś przekładać.

— Raus! — zawył porucznik.

I na oślep uderzył zaciśniętą pięścią. Sklepikarz stęknął i zatoczył się pod ścianę. Za to tamten uspokoił się nagle. Cofnął się parę kroków do tyłu i obrócił ku towarzyszowi.

Piotr słaniając się zrobił ruch jakby chciał podejść w ich stronę. Karol zatrzymał go wzrokiem.

— Daj spokój — powiedział cicho równym głosem. — Po cóż to?

I dorzucił jeszcze ciszej:

— Przecież to już skończone...

Piotr przygarbił się i bezgłośnie prawie wyszeptał imię przyjaciela. Tamten dosłyszał jednak. Drgnęły mu wargi i oczy pociemniały. Lecz zaraz opanował się.

— Trzymaj się! — powiedział sucho.

Stojący obok żołnierz pchnął go w ramię.

— Milczeć!

W tym momencie stojący przy drzwiach porucznik odwrócił się i krótkim ruchem objął Piotra i Karola.

— Rozstrzelać!

Wyszedł nie oglądając się, za nim wysunął się młody junkier.

W izbie wszczął się ruch. Jeden z żołnierzy pchnął Piotra ku drzwiom. drugi wysoko podniósł latarnię i jej blask rozjaśnił mrok sionki. Piotr, z przyzwyczajenia schylając w odrzwiach głowę, przeszedł pierwszy przez próg i zaraz ogarnęło go chłodne powietrze październikowej nocy.

Mrok stał nad ziemią. Gdy podniósł oczy, ujrzał skłębione nisko niebo, ponad nim w głębokościach bardzo dalekich drugie niebo spokojne, mroźne prawie i gwiaździste. Jakieś wspomnienie przeszło mu przez pamięć, lecz nie mógł uchwycić jakie. Obejrzał się za siebie. Z tyłu stał Karol i także patrzył w niebo.

— Karol! — szepnął po raz drugi.

Żołnierze mówili coś między sobą, naradzali się najwidoczniej, który z nich ma wykonać egzekucję. Nagle Piotr uczuł na dłoni rękę Karola. Targnął nim ból, jakiego nie znał dotąd. Ręka mu zadrżała.

— Nie bój się! — pochylił się ku niemu tamten.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdy pchnięto go w plecy karabinem. Posłusznie, ścierając machinalnie dłonią krew z twarzy, ruszył przed siebie. Blask latarni wąską smugą oświetlał drogę. Jednak potknął się parę razy o kamienie. Prowadzono ich w głąb podwórza. Piotr, chociaż nie oglądał się za siebie, czuł, że Karol idzie za nim.

— Pamiętaj — usłyszał naraz blisko jego ściszony głos, — nawet to może być nadzieją...

Cisza stała w ciemnościach. Z pomiędzy tupotu podkutych butów Piotr wyraźnie wychwytywał własne kroki, a za sobą każdy krok Karola. Wtem poza nim ktoś począł głośno gwizdać. Piotr odruchowo przystanął. Był pewien, że rozpoznał głos porucznika.

— Schnell, schnell! — pchnął go najbliższy z żołnierzy.

Potknął się znowu, lecz nim dalej ruszył, zdążył się odwrócić i spojrzeć na Karola. Ten także słuchał.

Wysoki gwizd przenikał w noc pierwszymi taktami pogodnej serenady Mozarta. Piotr podniósł głowę. Gęste obłoki kłębiły się w górze, lecz wyżej, jak nikłe światło w ciemnościach, jaśniało jeszcze gwiazd kilka, dalekich i samotnych. "Nadzieja!" — pomyślał machinalnie, lecz bez pewności, że ma do niej prawo.

Dotarli wreszcie do końca podwórka, pod płot. Obok widniała w ziemi czarna jama po wykopanej broni. Szum lasu podchodził tutaj ciemną falą.

— Halt! — krzyknął jeden z żołnierzy.

Stanęli. Drugi żołnierz, barczysty i w kasku wyjął rewolwer i od tyłu podszedł do Karola. Ten wyprostował się, podniósł głowę. Wydawał się teraz wśród ciemności wyższy niż zwykle. Wystrzał zabrzmiał krótko i głucho. Karol zachwiał się i z rękoma przyciśniętymi do ciała upadł twarzą w mrok.

Nim żołnierz podszedł z kolei do niego, Piotr jeszcze raz zdążył spojrzeć na niebo. Jedna, przygasająca gwiazda płonęła wśród ciemnej i milczącej otchłani. "Nadzieja!" — pomyślał z rozpaczą.

Grudzień, 1941.

Z ARCYDZIEŁ MALARSTWA POLSKIEGO



Aleksander Gierymski — Wieczór nad Wisłą



Włodzimierz Tetmajer — Święcone

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Obrady UNO, odbywające się w Londynie, ilustrują zakłamanie, które jak ciężka mgła, zawisło nad życiem narodów całego globu. Spory i przetargi, co do składu głównych komisji UNO prowadzone w tylnych salkach londyńskiej Central Hall, zostały prawie że zakończone; pozostała właściwie jeszcze sprawa wyboru sekretarza generalnego UNO, co do osoby którego wielkie mocarstwa nie zdołały dotąd się porozumieć; małe i mniejsze kraje bronią się przed narzucaniem im kandydatury zbyt jawnie związanej z interesami sowieckimi.

Na sesjach plenarnych przemawiali już główni delegaci t. z. Wielkiej Piątki. Pierwszy P. Byrnes, po za dobrze już znanymi obietnicami i nadziejami, wypowiedzianemi wielokrotnie z racji rozmaitych okoliczności, nawcływał do niewysuwania teraz kwestji drażliwych, dając do zrozumienia, że wysunięcie takich spraw spornych i ostrych, może doprowadzić do natychmiastowego rozpadnięcia całego gmachu UNO, z tak olbrzymim trudem sklejonego w San Francisco i Londynie... z papieru. Przemówienie swoje P. Byrnes kierował pod adresem tych krajów, które dążą teraz w Londynie do usunięcia klauzuli veta w decyzjach Rady Bezpieczeństwa, a tedy zwracał się właściwie pod adresem P. Bevina, który rozumie, że prawo veta jest prawem wyłącznego decydowania o sprawach światowych przez Rosję Sowiecką i to decydowania w sensie ujemnym. Pozatem, P. Byrnes, nawołując do niewysuwania kwestji drażliwych apelował w istocie rzeczy do delegacji irańskiej, która w myśl instrukcji swego rządu, zapowiedziała zwrócenie się Iranu do UNO w kwestji interwencji sowieckiej w wewnętrzne sprawy Iranu, wskazując jako przykład na znaną sprawę "demokratycznego powstania" w Adżerbajdżanie. Kwestję wolności prasy, praw człowieka i obywatela, zasiadający i kłócący się, w tylnych salkach Central Hall, ministrowie Wielkiej Piątki, uchwalili odsunąć na później, albowiem dla Rosji Sowieckiej i krajów satelitów moskiewskich, są to zagadnienia drażliwe, a zatem mogące wywołać rozpadnięcie się potężnego gmachu UNO.

W Londynie, z przeolbrzymiej tragedji dziejowej, reżyserzy z Wielkiej Piątki, to jest właściwie reprezentanci Wielkiej Dwójki: Stanów Zjednoczonych i Rosji Sowieckiej starają się uczynić dyplomatyczną farsę. Kiedy delegacja irańska, niewątpliwie, za cichą zgodą brytyjską, do czego dyplomacja brytyjska boi się przyznać, wniosła jednak, pomimo ostrzeżeń i zaklinań P. Byrnesa, do sekretarjatu UNO skargę na postępowanie sowieckie w Adżerbajdżanie, zaraz różni eksperci i councelerzy poczęli szukać sposobów uduszenia tej skargi przez zawinięcie tej kwestji w ciężkie pieluchy artykułów statutowych i komentarzy do tych artykułów. Podobno, po uważnem przeczytanu dokumentu irańskiego, ci zawodowi doradcy i eksperci zauważyli, że w piśmie irańskiem nie użyty został termin "dispute", a zatem Iran nie wysuwa sprawy, co do której istnieje "stan dysputy" z Rosją sowiecką, zatem sprawa może być nie rozpatrywana przez Radę Bezpieczeństwa, powołaną do rozważania, badania, regulowania kwestji, co do których zaistniał "stan dysputy".

W sprawie powiernictwa UNO nad obszarami mandatowymi, P. Bevin zgłosił gotowość oddania pod kontrolę UNO trzech drobnych obszarów mandatowych w Afryce, P. Bidault, w imieniu Francji, wyraził gotowość oddania pod kontrolę UNO obszarów mandatowych, nie deklarując jednak konkretnie niczego. P. Byrnes natomiast nic nie powiedział, ponieważ w Washingtonie jeszcze się nie zdecydowano co zrobić z wyspami mandatowemi na Pacyfiku.

Ze wszystkich przemówień, wygłoszonych w ostatnim tygodniu w Londynie, jedynie P. Gromyko przemawiał wyraźnie, po rosyjsku i to nietylko pod względem lingwistycznym ale i politycznym. Ostrzegał Gromyko przed próbami obalenia klauzuli veta, ostrzegał przed dążeniem do zmiany grudniowych decyzji amerykańsko-sowieckich, powziętych w Moskwie, niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że w grę wchodzi samo istnienie UNO, że Moskwa nie dopuści do żadnych, pod tym względem zmian. Przemówienie Gromyki nabiera na wyrazistości wobec faktu, że główny delegat sowiecki Wyszyński dotąd do Londynu nie przybył; nie jest to wynikiem złego zdrowia, trudności komunikacyjnych, czy też innych jakichś powodów materjalnych, ale jest dowodem, że w Moskwie są z dotychczasowego przebiegu sesji UNO niezadowoleni i sobie, zresztą, całe UNO lekceważą.

Encyklika Papieża, ogłoszona z racji 350 lecia Unji, wskazując na prześladowanie Kościoła grecko-katolickiego, na wschód od linji Curzona, odsłania tylko część cierpień fizycznych i moralnych, ponoszonych przez ludność wschodnich dzielnic Polski, zaprzedanych w Teheranie i Jałcie przez mocarstwa anglosaskie, Rosji sowieckiej.

Ustąpienie gen. de Gaulle'a ujawnia głębokie rozbicie wewnętrzne Francji, idzie bowiem, o odbudowę siły mocarstwowej Francji, do czego komuniści francuscy — działając według instrukcji moskiewskiej — nie chcą dopuścić.

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

KWARTALNE ZEBRANIE KONGRESU POLONJI W WASZYNGTONIE

Dwudniowe obrady plenarnego zebrania Komitetu Wykonawczego Kongresu Polonji Amerykańskiej, oraz Komisji Finansowej odbyły się w hotelu Roosevelt w Waszyngtonie.

Po uchwaleniu i przyjęciu sprawozdań prezesa Rozmarka i wszystkich urzędników, oraz poszczególnych komisji, zebranie uchwaliło jako punkt najważniejszy kampanję za zebraniem miljona dolarów na koszty działalności Kongresu która odbędzie się w całej Ameryce w miesiącu maju b. r. uzgodniono szereg planów i projektow z tem związanych.

Załatwiono też pomyślnie sprawę Polskiego Instytutu Naukowego, po przedstawieniu jej przez prof. Oskara Haleckiego, postanowiono też zaprenumerować większą ilość egzemplarzy "Polish Review".

Komisji Wydawniczo-Informacyjnej i Komisji Robotniczej uchwalono odpowiednie subwencje celem kontynuowania pracy tych Komisji.

Przedyskutowano gruntownie i uchwalono wysłanie do sekretarza stanu Byrnes'a do Londynu specjalnego pisma, domagającego się stanowczo zmiany polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych odnośnie Polski i nnych pokrzywdzonych narodów.

Unormowano sprawę opłat członkowskich i sposób ich uiszczania, oraz sprawę donacji i funduszów zbieranych na koszta działalności Kongresu, jak również podział tych funduszów między Wydziały Stanowe a Zarząd Wykonawczy.

Postanowiono zaprosić do dyrekcji Zarządu Wykonawczego jednego przedstawiciela zorganizowanej prasy polskiej w Ameryce.

NOWY BISKUP POLSKI KS. TOMASZ L. NOA

Ojciec św. zamianował biskupem Polaka Ks. Tomasza L. Noa. Biskup Tomasz I. Noa urodził się w Iron Mountain, Mich., dnia 18-go grudnia 1892 roku.

Uczęszczał do Seminarjum św. Franciszka w St. Francis, Wis., a następnie kształcił się w Kolegjum Północno-Amerykańskiem w Rzymie. Na kapłana został wyświęcony w dniu 23 grudnia 1916 roku przez Kardynała Pompili w Bazylice św. Jana Laterańskiego w Rzymie.

Po swoim powrocie do Stanów Zjednoczonych, Biskup Noa został zamianowany członkiem fakultetu w seminarjum św. Józefa w Grand Rapids, Mich. Był profesorem od roku 1917 do 1927, a później rektorem.

Biskup Noa był także w djecezji Grand Rapids konsultorem, cenzorem książek, egzaminatorem prosynodalnym i członkiem djecezjalnego wydziału szkolnego.

Według rozporządzenia Jego Świątobliwości Papieża Piusa XII Biskup Noa zostaje Biskupem tytularnym Salony i koadjutorem Biskupa Edmonda P. Heelan, w Sioux City, Iowa.

Biskup Noa będzie trzecim biskupem polskim w Stanach Zjednoczonych; oprócz niego są biskupami ks. Stanisław Bona, ordynarjusz djecezji Green Bay i ks. Stefan Woźnicki, sufragan w Detroit.

KONGRESMAN LESIŃSKI PREZESEM KOMISJI IMIGRACYJNEJ

Izba Reprezentantów Stanów Zjednoczonych uchwaliła mianować kongresmana Jana Lesińskiego, z Detroit, Michigan, przewodniczącym Kongresowej Komisji Imigracyjnej i Naturalizacyjnej, jednej z najważniejszych komisji stałych Kongresu Stanów Zjednoczonych.

Dotychczas prezesem tej komisji był kongresman z New Yorku, Samuel Dickstein, który złożył mandat kongresowy, gdyż został wybrany sędzią.

Sekretarzem Legislacyjnym Kongresowej Komisji Imigracyjnej i Naturalizacyjnej, zamianowany został p. Władysław Besterman, znany dziennikarz, b. attache prasowy Ambasady R. P.

Kongresman Lesiński rozpoczął już urzędowanie i zamierza podobno omówić z Prezydentem Trumanem sprawę kwot imigracyjnych ,które uważa za zbyt niskie.

Jak słychać Prezydent Truman wyraził przekonanie, iż kwoty imigracyjne powinny być rozszerzone.

Ś. P. ZOFJA MAŁECKA

Parę dni temu w chmurną zawieję siekącą śniegiem i deszczem chowaliśmy na zamiejskim cmentarzu zwłoki ś. p. Zofji z Jaczewskich Małeckiej, która dożywszy późnego wieku odeszła pełna duchowej młodości, pogody i zniewalającego wszystkich uroku. Życie jej upłynęło wśród rodziny i przyjaciół nie było w niem nic nadzwyczajnego, ś. p. Zofja Małecka oddana była sprawom codziennym i ludziom najbliższym. Ale w pełnieniu tych obowiązków, w stosunku właśnie do tych spraw niby codziennych — była ś. p. Zofia Małecka kobietą niezwykłą, była źródłem niegasnącego optymizmu, światłem cudownego, gospodarskiego rozsądku, ogniskiem które skupiało i ogrzewało rozproszonych i spragnionych ciepła. Dom jej zięcia i córki Henrykostwa Rajchmanów który był tutaj w New Yorku jej domem — wieleż zawdzięczał tym cnotom pani Małeckiej, jej pełnemu wesołości i pogody urokowi, jakżeż bardzo dzięki niej także był polskim domem, w którym wciąż instynktownie przypominało się nam to, co w Polsce było najlepsze, w którym równo i nieustannie tlił się płomień wiary w lepsze czasy. Wszyscy którzy ją znali darzyli ją uczuciem, jakie dzieci mają dla rodziców, bardzo dobrych, bardzo rozumnych i przez to bardzo wyrozumiałych. Wszyscy też oni dzielą najserdeczniej żałobę pani Zofji Rajchmanowej, jej męża i jej córki.

(jl)

SENATOR VANDENBERG W OBRONIE ARMJI POLSKIEJ ZAGRANICĄ

Senator Arthur H. Vanderberg delegat Stanów Zjednoczonych na konferencję Zjednoczonych Narodów w Londynie wystąpił w Londynie z projektem, aby Armji Polskiej znajdującej się zagranicą dać opiekę, aby armja ta była zabezpieczona przed przymusową repartjacją do Polski, gdzie prawdopodobnie czekałaby oficerów i żołnierzy śmierć.

Sen. Vandenberg żąda, aby członkom Armji Polskiej, która walczyła po stronie aliantów a przeciwko Niemcom dać międzynarodowe obywatelstwo i żeby mieli prawo przybywać do każdego kraju.

"VERBUM NOBILE" MONIUSZKI W NEW YORKU USŁYSZYMY 17 MARCA

"Verbum Nobile" (Słowo honoru) Moniuszki, wystawione będzie przez Polonia Opera Co. pod dyrekcją Ludwika Kowalskiego, w niedzielę, 17go marca o 3ej popołudniu w pięknym Second Avenue Teatrze, przy 2 Ave. i 2 ulicy w New Yorku.

P. Kowalski ma za sobą liczne dokonania w dziedzinie operowej, pokazał bowiem "Flisa", "Hrabinę" i kilkakrotnie "Halkę".

JUBILEUSZ POLSKIEGO KLUBU ARTYSTYCZNEGO

Polski Klub Artystyczny chlubnie znany ze swej działalności, obchodzi obecnie jubileusz.

Upłynęło 10 lat od czasu gdy Polski Klub Artystyczny rozpoczął swoją działalność wydaniem antologji

Poezji Polsko Amerykańskiej. Komitet Polskiego Klubu Artystycznego w Chicago otrzymał na skutek swego apelu, mnóstwo poezji, z których 161 zamieszczono w Antologji Poezji Polsko-Amerykańskiej wydanej w 1937 roku. Wydrukowano i sprzedano jej 1,000 egzemplarzy!

W latach 1938-1941 Polski Klub Artystyczny zorganizował szereg Krajowych Zjazdów pracowników Polskich Klubów Artystycznych, oraz innych kulturalnych zrzeszeń, jakie odbyły się w Nowym Yorku, w Milwaukee i w Grand Rapids.

Od roku 1941 Polski Klub Artystyczny organizował doroczne konkursy na nowelki z nagrodami, wypłacanymi z pamiątkowego funduszu, jakim rozporządzał Polski Klub Artystyczny w Chicago. Nowelki pisane przeważnie przez młodych polskich autorów.

Przed kilkoma miesiącami opublikował Polski Klub Artystyczny artykuł na temat: "Rozwój Działalności Kulturalnej w Stanach Zjednoczonych".

Kilka tygodni temu wydał pierwszy nakład "The National Polish Arts Bulletin."

OPINJE I ZDARZENIA

PARĘ POLSKICH NAZWISK

Parę dobrych i znanych nazwisk polskich znaleźć można w spisie dowódców obecnej "armji polskiej", opanowanej przez Moskali. Szefem sztabu jest generał Korczyc, dowódcą broni pancernej generał Mostowien- dowódcą sił powietrznych generał Połynin, dowódca marynarki generał ...niljanow, szefem wywiadu generał Kożuszko, dowódcą jednej z dywizji generał Bewziuk.

DO POLSKI POD SZTANDAREM SOWIECKIM

Dnia 22 listopada ub. r. wyjechał ze Szwajcarji specjalny pociąg wiozący 650 osób, przeważnie b. wojskowych. Pociąg ten przystrojony był sztandarami polskimi i sowieckimi, co widać na zdjęciu umieszczonym w pismach szwajcarskich.

"POMOC CZYNNIKÓW OBCYCH"

Krakowski tygodnik "Odrodzenie" z dn. 9. 12. 45 r. zastanawia się dlaczego zagranicą ukazało się w ostatnich czasach kilka sprawozdań prasowych, jak naprzykład Hilla w Stanach Zj., Rhony Churchill w Anglji i Pado we Francji, którzy zgodnie z istotnym stanem rzeczy twierdzą, że w Polsce rządzi tajna policja, że kierownictwo armii jest w rękach rosyjskich i że aresztowania polityczne nie ustają. "Odrodzenie" nie odpiera tych oskarżeń ani słówkiem i obwinia za to... emigracje londyńską "usiłującą — jak pisze — szerzyć zamęt, destrukcje i korzystającą w swych antynarodowych manewrach ze skwapliwej pomocy różnych wrogich nam czynników obcych".

Panowie! Wszystko dobrze, tylko to korzystanie z "pomocy czynników obcych". I do tego jeszcze "różnych wrogich nam czynników obcych". To nie. To już wasz przywilej.

KŁAMSTWA. KŁAMSTWA, KŁAMSTWA...

Groza kłamstwa, którem karmi się czytelnika w Sowietach jest niewymierna. Czasem przyjmuje ona jednak formy niepozbawione humoru. Oto dwa przykłady.

W osławionych moskiewskich "Nowych widnokręgach", za któremi zgasła w tajemniczy sposób gwiazda Wandy Wasilewskiej, w numerze 16-tym z 30 sierpnia 1945, Jerzy Pański, pisząc o głodzie rosnącym po wojnie w całym świecie (w Sowietach, jak wiadomo, ludzie puchną z obżarstwa), wygłasza takie zdanie:

"W Ameryce, która mogła pół świata nakarmić swymi bekonami, brak jest mięsa nawet na kartki dla własnej ludności". Ładne, co? I to w czasach, gdy funt kury kosztuje 39 centów.

Inny przykład, z innej dziedziny ale w tem samem piśmie, w tym samym numerze i w tym samym duchu. W artykule poświęconym pierwszemu rocznikowi tygodnika "Odrodzenie" autor podpisany "j. p." (zapewne znów Jerzy Pański) wypowiada następującą trafną i skromniuchną opinję o autorach drukujących w tem piśmie:

"Myślę, że publicystyka społeczno-polityczna całego dwudziestolecia naszej niepodległości nie dosięgnęła tego poziomu, jaki reprezentują dziś w Polsce Wincenty Bednarczuk, Kazimierz Brandys, Mieczysław Jastrun, Jerzy Putrament".

Trudno w jednem zdaniu powiedzieć większą brednię. Zastanówmy się nad nią chwileczkę.

Pan Putrament jest znany jako poeta mniej więcej trzeciej klasy. Takim był i takim będzie, bo nie ma talentu. To samo odnosi się do Putramenta — publicysty. Mógł on być bolszewickim donosicielem w słynnych procesach lwowskich Grubińskiego, skazanego dwukrotne na śmierć, Parnickiego i zdaje się także, Broniewskiego, obu skazanych na wieloletnie więzienie. Mógł zostać potem bierutowskim ministrem w Szwajcarji, ale nie może być i nigdy nie będzie wybitnym publicystą, bo nie ma nic do powiedzenia.

Jastrun był i jest świetnym poetą, nigdy poza literaturę nie wychodził i tam też ma zapewnione swoje miejsce. Niemniej "społeczno-polityczna publicystyka" jego par excellence artystycznej umysłowości jest tylko fantazją pana "j. p."

Pan Brandys i Bednarczuk są nam nieznani, jednakże spokojnemu człowiekowi wydaje się mało prawdopodbne, by w ciągu jednego roku działalności "Odrodzenia" dwa te pióra mogły zaćmić 20 lat działalności kilku dziesiątek co najświetniejszych publicystów Polski niepodległej.

Dla partyjnego fanatyka w stylu pana "j. p." nic nie znaczy Boy, od którego w Polsce aż huczało, nic Irzykowski, który wychował całą generację myślicieli i krytyków, nic "Ku czemu Polska szła" Górskiego, nic "Próby syntez" Matuszewskiego, nic namiętne wystąpienia Świętochowskiego nic essaistyczne rozważania Wittlina, nic Askenazy, jako publicysta, nic Suchodolski, Kołaczkowski, J. N. Miller, że zacytujemy tylko pierwsze z brzegu nazwiska. Dla kłamczucha w stylu pana "j. p." wszyscy oni są poniżej "tego poziomu, jaki reprezentuje dziś" czwórka zmyślonych nowo-Pańskich wielkości.

Obojętne jest, że pan Pański i pan "j.p." jest akurat tak inteligentnym krytykiem, jak autentyczny jest głód panujący w Ameryce. Przeraźliwy natomiast jest fakt, że takiemi kłamstwami, jak te dwie przytoczone próbki, karmi się Polaków odciętych od świata i wolności myśli.

STEFAN OSUSKI W STANACH ZJEDNOCZONYCH

W najbliższym czasie przybywa do Stanów Zjednoczonych z Anglji Stefan Osuski jeden z twórców Republiki Czechosłowackiej, przez długie lata poseł Czechosłowacji w Paryżu. Osuski, zawsze przeciwstawiał się polityce Benesza a w Londynie rozszedł się z nim zupełnie, występując w imię prawdziwej niepodległości swego kraju. Osuski jest Słowakiem urodzonym w Stanach Zjednoczonych.

LISTY DO REDAKCJI

Mr. Jan Lechoń
Tygodnik Polski
New York
Dear Mr. Lechoń:

. . . While thinking now of you and your team at TYGODNIK POLSKI, I wish to convey with my best greetings the strong belief I profess in the victory of right against violence, and freedom against enslavement. The martyrology of Poland indeed and the last issue of TYGODNIK recorded another name of a great Polish patriot and friend, of Janusz Radziwiłł. The list is also endless in my own country and peoples in Europe seem to live in a permanent presence of death — *vivo memor leti.* Yet there are signs that reaction of free men is growing in Poland and elsewhere, and I earnestly hope that your magazine may record very soon the coming of a general unpheaval against the Reign of Beast.

I am,

Very sincerely yours,
Kaarel R. Pusta, Sr.

ŻOŁNIERZE POLSCY PRAGNĄ NAWIĄZAĆ KORESPONDENCJĘ Z RODAKAMI W AMERYCE

RUNGE Andrzej, Polish Forces P/95, Edinburgh, Great Britain pisze: "pisze właśnie owy list pewien żołnierz polski, który przeszedł 5 letnią niewolę... zaraz powróciłem w szeregi wojska polskiego... rodziną mą jest jedynie wojsko... potrzebami jest jedynie pomoc moralna, by podnieść się na duchu".

OGIEGŁO Józef kpr., Polish Forces, C.M.F. 422, pragnie korespondować po polsku lub po angielsku z Polką-Amerykanką.

LAREN-ŁAURUCZENKO Bronisław, st. strz. Polish Forces, C.M.F. 359, pragnie nawiązać kontakt z rodziną polską w USA "może to będzie chociaż częściowe zadowolenie w tej trudnej i ciężkiej sytuacji, jaką my Polacy przeżywamy dziś".

KORYCKI Stanisław kpr. Polish Forces, C.M.F. 113, "służę w szeregach Armji Polskiej na obczyźnie zaledwie parę tygodni, przedtem walczyłem, w Kraju w Armji Krajowej... pragnąłbym nawiązać z kimkolwiek w Ameryce korespondencję".

MALCZEWSKI Marjan sgt., P/100 Polish Forces, Edinburgh,: "uprzejmie proszę o wskazanie mi adresu Polaka z Ameryki, któryby chciał ze mną prowadzić korespondencję w języku polskim lub angielskim".

OGONOWSKI J. Polish Forces, M. E. 202, "chciałbym nawiązać korespondencję z Polakiem lub Polką z Ameryki. Jestem samotny — cała moja rodzina prawie wyginęła; przeszedłem więzienia i łagry w Rosji".

DZIOBA Ignacy, Polish Forces, C. M.F. 528, "jestem polskim żołnierzem i chciałbym chętnie nawiązać korespondencję towarzyską z jakąś rodaczką z Polonji Amerykańskiej".

LISZKA Ryszard, Polish Forces, C. M F. 178, pisze: "Chciałbym prowadzić korespondencję z Amerykanką polskiego pochodzenia".

OBREMSKI Henryk, szer. Polish Forces, C.M.F. 305; "Nie mając dotąd mimo chęci i starań, możności nawiązania korespondencji z Rodakami zamieszkałymi w Stanach zwracam się z prośbą do Szanownej Redakcji o łaskawą pomoc... mam nadzieję, że wśród czteromiljonowej rzeszy Polaków amerykańskich znajdzie się ktoś, komu nie będzie obojętna moja prośba dla żołnierza bez Ojczyzny i najdroższych, tyle znacząca".

SCHNEIKERT Fryderyk pchor, Polish Forces, C.M.F. 567 prosi o listy.

BOHDANOWICZ Jerzy strz., Polish Forces, C.M.F. 267 — pragnie nawiązać korespondencję.

POSZUKIWANIA

RZEZNICEK Alfred mgr., c/o Mr. Ellbaum, Nachland Achim, Jerozolima, poszukuje swego przyrodniego brata Rev. Augusta Gawendę, Superior, Wis. oraz Dyr. Wł. Michejdę z Giszowca na Śląsku, który podobno jest w Chicago, Ill.

RAGIEL Bronisław Strz. Polish Forces C.M.F. 170, poszukuję brata Stanisława Ragiel, który wyjechał do Stanów w 1928 r. i podobno mieszkał w Maspeth, N. J.

HORODYSKI Bronisław, Kpt. Polish Forces, C.M.F. 120, poszukuje wuja Wilczyńskiego, który podobno mieszka w Acropolis, Pa.

SZCZODROWSKI Franciszek kpr., Polish Forces, P.O. Box 260/50, G. P. O. London E.C.1, poszukuje wujów Kurowskiego Józefa i Kurowskiego Franciszka, podobno mieszkają w Detroit.

OSIPOWICZ Paweł st. szer. Polish Forces, C.M.F. 518, poszukuje krewnych i znajomych z Wileńszczyzny pow. Oszmiański i Mołodeczno.

BARANOWSKI Jan plut., P. O. Box 260/75 London E.C.1. poszukuje krewnego Ali Baranowskiego zamieszkałego w stanie New York.

MULARCZYK Bazyli, strz. Polish Forces, C.M.F. 243 poszukuje brata inż. Łukasza Mularczyka, który wyjechał z Polski w 1912 r. i mieszkał w Toronto w Kanadzie.

ROGALSKA Weronika, Siostra P. C.K., P.O.Box 1010, Jerozolima, poszukuje stryja Wincentego Jakubowicza l. ok. 55, syna Józefa i Tekli, który wyjechał z Wileńszczyzny przed pierwszą wojną światową.

SACHOWSKI Michał, st. sierż., Polish Forces, C.M.F. 434, poszukuje swych krewnych i przyjaciół: Fruzię Grąbda, która wyjechała do Stanów przed 1914 r.; Antoniego Fąfara i Wojciecha Szymczuch z Rembowa, oraz z Szymańskich Stanisławę Słomka.

HIRNIAK Jan, Polish Forces, C.M. F. 209, poszukuje brata, wujka i ciocię zamieszkałych w Ameryce.

JASIENIECKI Alfons, cpl. Polish Forces 67, M.E.F. poszukuje rodzinę Stemsky, właściciel zakładu piekarskiego w Brooklynie. Ciotka z domu Orłowska zam. Stemska jest siostrą matki p. Jasienieckiego Heleny z Orłowskich Jasienieckiej.

RĄCKI Antoni, Polish Forces, C.M. F. 517, poszukuje krewnych Ignacego Rąckiego z New Yorku i Władysława Rąckiego z Milwaukee.

KUBIAK Jan strz. Polish Forces, C.M.F. 419, poszukuje wujka Marcelego Krajewskiego z Detroit, Mich.

REC Stanisław strz. Polish Forces, C.M.F. 419, poszukuje wuja Stanisława Opalińskiego z Chicago, oraz stryja Jana Rec również zamieszkałego w Chicago.

SPIRGIEWICZ Wacław, 49 Greendyke Street, Glasgow C. 1, Great Britain, poszukuje wuja w Wilkes Barre, Pa. — Williama Thomas (Tamulaitis) właściciela baru oraz ciotki Agaty Szyporaitis i Teofili (chrzestnej matki) w Chicago i kuzyna Wincentego Tamulaitis, pracującego w fabryce parasoli w New Yorku.

PRYDOŃ Tadeusz plut. Polish Forces, C.M.F. 322, poszukuje swych krewnych Kazimiery Takaczyk i Marji Bunda z domu Łańcuckiej zam. w New Yorku.

NIEZABYTOWSKA Janina, Polish Refugee Camp., Valivade-Kolpahur, India, poszukuje wraz z matką krewnych i znajomych.

NIEZABYTOWSKA Józefa z d. Chmielewska, Polish Fefugee Camp, Valivade-Kolpahur, Indie, poszukuje ciotecznego brata Wacława Dulskiego, który wyemigrował do Stan. Zjednoczonych około 1906 r. oraz trzech jego sióstr Kamilli, Zofji i Teodory.

KALESZKIEWICZ Józef, P.R.O., Polish Liaison Officer, Rome, Allied Area Command, C.M.F. 62, podaje, że Barbara Kamińska poszukuje wuja Leona Snopczyńskiego, księdza Kościoła Narodowego, używał pseudonimu Leon Pons; oraz Elżbieta Raszke, poszukuje rodziny siostry, a mianowicie b-dyr. fabryki "Ursus" inż. Antoniego Rościszewskiego, który podobno przebywa w Kanadzie.

GAJDECKI Stefan st. strz. Polish Forces, C.M.F. 234, poszukuje rodzinę Marję Jasińską, podobno w Pearl River, Annę Himmel z Brooklyna i Helenę, Piotra i Alfreda Gajdeckich.



[At present messages are subject to indefinite delay because of restrictions resulting from the strike against another communications company.]

RCA COMMUNICATIONS, INC.

A Service of Radio Corporation of America

64 BROAD STREET, NEW YORK 4, N. Y.

WASHINGTON, D. C. SAN FRANCISCO, CAL.

DOMINICAN REPUBLIC HAWAII MANILA, P. I. HAITI PORTO RICO

REPRESENTATIVES — BALTIMORE • BOSTON • CHICAGO
DETROIT • LOS ANGELES • PHILADELPHIA

DIRECT RADIO-TELEGRAPH SERVICE TO MORE THAN FIFTY COUNTRIES THE WORLD OVER